NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW [illegible]

ulica Kazimierza Wielkiego L. 65 [illegible]

Telefon Nr. [illegible]

[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: **KAROL BUCHSTAB**, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

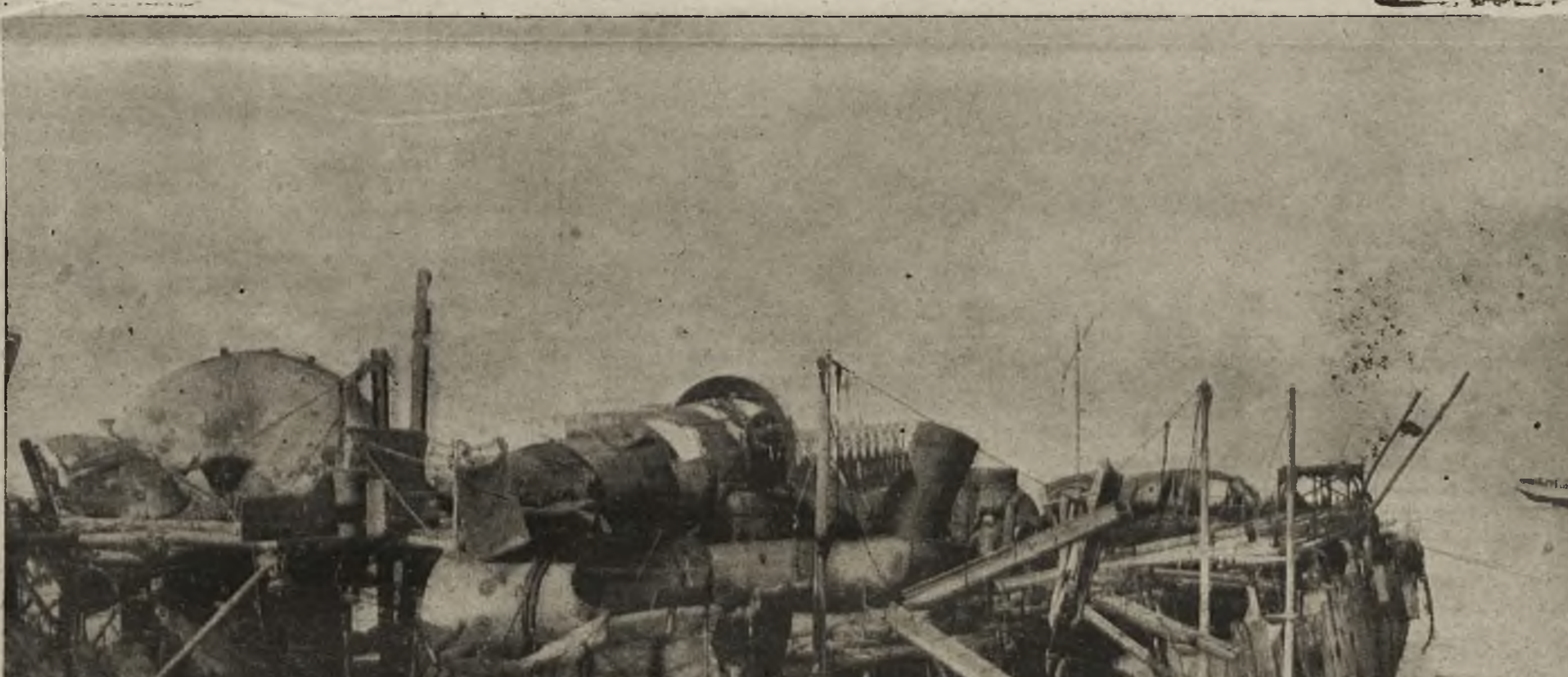
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. | Kraków, 8 czerwca 1918. | Nr. 22.

Angielska ofenzywa na morzu.

(Treść na str. 9).



Okręt angielski „Vindictive" zniszczony pociskami artyleryi niemieckiej podczas ataku na Ostendę. (Fot. Bufa)

Od Wydawnictwa.

Skutkiem **bezrobocia drukarzy,** które zaskoczyło wszystkie czasopisma krakowskie w dniu 23 z. m., nie mogliśmy wydać numeru w ubiegłym tygodniu, a obecny wychodzi z nieznacznem opóźnieniem. Nie wątpimy, że Czytelnicy nasi uwzględnią tę przymusową przerwę, która dotknęła wszystkie wogóle wydawnictwa tutejsze.

Nawiązano odrazu układy, które wobec trudności gospodarczych w Galicyi, wymagały wszakże dłuższego czasu. Prowadzono je z całem zrozumieniem, że trzeba z jednej strony uwzględnić jak najdalej żądania pracowników drukarskich, dyktowane przez sytuacyę aprowizacyjną, z drugiej zaś umożliwić dalsze ukazywanie się pism przy nieznacznie podniesionych warunkach przedpłaty.

Tą myślą kierowane wydawnictwa pism krakowskich doprowadziły układy do końca i zamknęły je ugodą, która umożliwia punktualne wychodzenie pisma, obarczyła jednakowoż wydawnictwo nowemi ciężarami, których w ramach budżetu dotychczasowego pomieścić absolutnie niepodobna, zwłaszcza wobec **rosnącej ciągle drożyzny materyałów niezbędnych przy technice wydawniczej.** Z dnia na dzień drożeje wszystko: począwszy od papieru i farby drukarskiej, a skończywszy na tak kosztownych dziś a trudnych do zdobycia materyałach do wyrobu klisz, jak cynk, srebro i różne chemikalia.

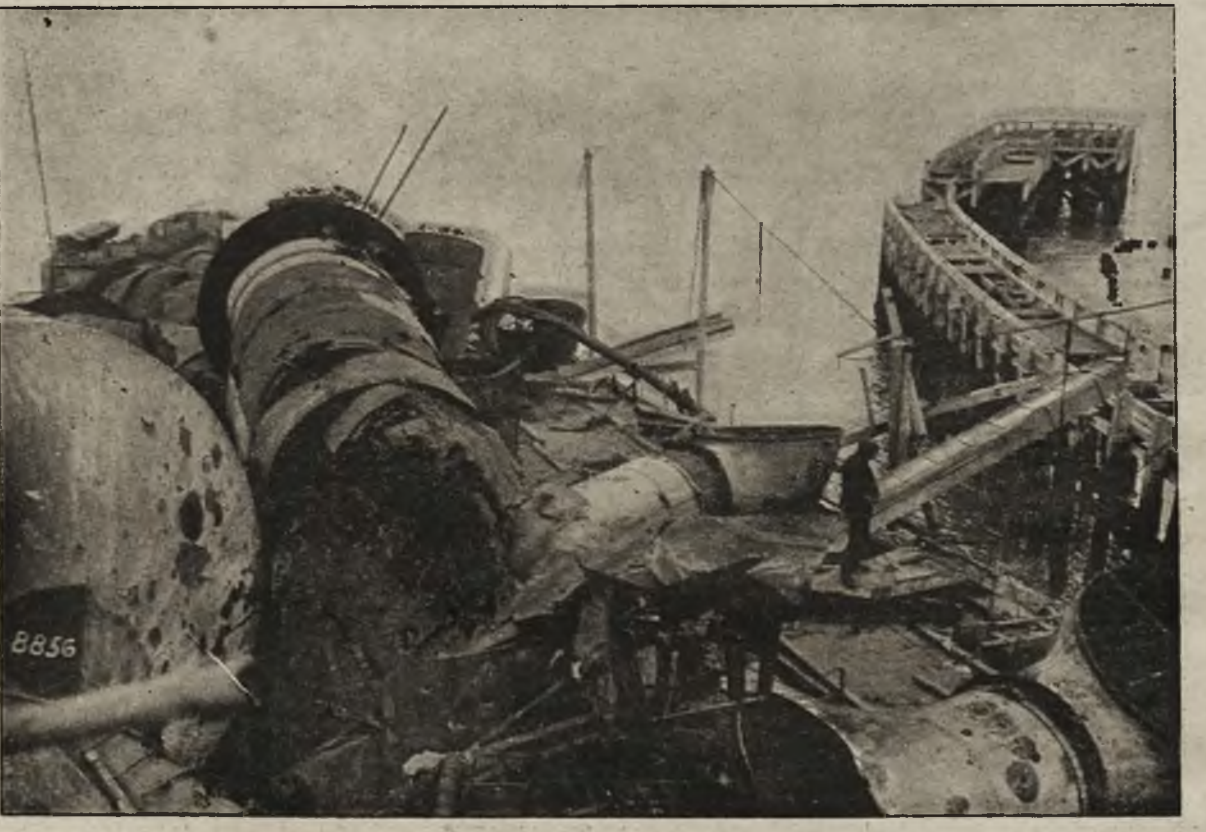
Pomimo tej drożyzny wydawnictwo nasze miało nadzieję, że dzięki wzrostowi liczby abonentów uda się uniknąć w tem półroczu podwyżki prenumeraty. Ostatnie dni przyniosły jednak pod tym względem zawód. Szalona drożyzna środków żywności, a zwłaszcza zupełny brak chleba kartkowego spowodowały personal drukarski do postawienia żądań o wydatne polepszenie bytu, co pociągnęło za sobą tak **znaczne podwyższenie kosztów produkcyi,** że wydawnictwo nasze, podobnie jak wszystkie inne wydawnictwa w kraju, ujrzało się zniewolonem do uregulowania budżetu w taki sposób, aby „Nowości Illustrowane" mogły dalej wychodzić. Stać się to może jedynie w drodze **nieznacznego podwyższenia prenumeraty,** która odtąd wynosić będzie:

Kwartalnie 12 kor. 50 hal.
Półrocznie 25 „ — „
Rocznie 50 „ — „
Cena pojedynczego numeru 1 kor.

Nie wątpimy, że Czytelnicy nasi, tak samo odczuwający ogólną drożyznę, zrozumieją przymusowe położenie wydawnictw, które w ten tylko sposób mogą w obecnych anormalnych warunkach utrzymać swą egzystencyę i wytrwać na posterunku.

* * *

Dla uniknięcia nieporozumienia zwracamy uwagę, że obecny numer kosztuje 70 hal., cena następnego zaś wynosić już będzie 1 kor.



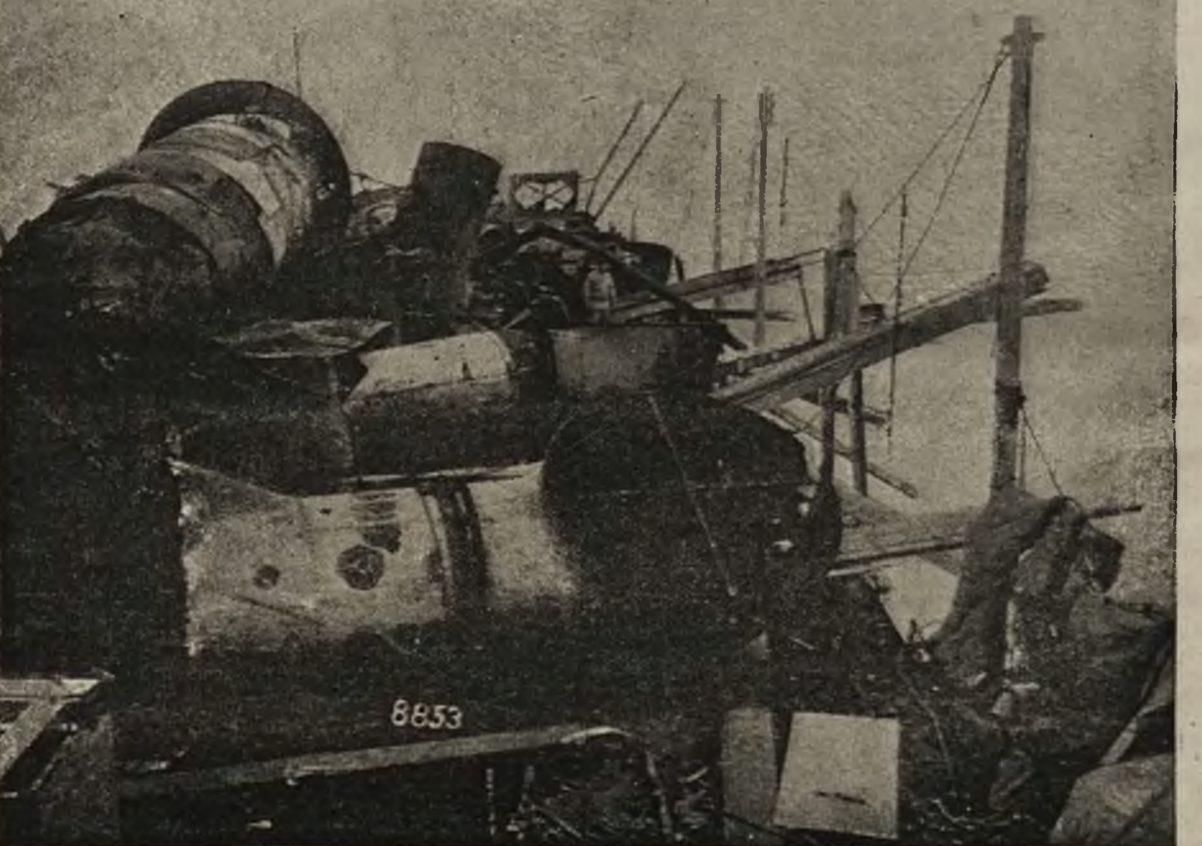
Angielska ofensywa na morzu: Angielski okręt „Vindictive" po ataku na Ostendę (Fot Bufa)



Szlakiem ofensywy niemieckiej: Niemiecki lazaret na górze Kemmel w ogniu dział angielskich (Fot. Bufa)

Zgon arcypasterza-patryoty.

Niespodziewana śmierć ś. p. arcybiskupa Franciszka Symona, patryoty i wygnańca za Wiarę i Ojczyznę, smutkiem przejęła wszystkie polskie serca, wszędzie bowiem znana, ceniona i kochana to postać. Dusza wzniosła, umysł szeroki, słowo jędrne, śmiałe, proste; w zmiennych kolejach życia niezmienna jednolitość przekonań i zasad, umiłowanie wiary i poświęcenie dla Kościoła i Ojczyzny. Duch polski ożywiał arcybiskupa Symona w całej swojej czystości, złożony z pobożności i odwagi, przywiązania do ziemi i miłości ludu. Dusza to była staropolska, umysł nowoczesny. Znał i rozumiał wszystkie pojęcia, potrzeby, stosunki dzisiejsze — ich naturę, ich pochodzenie od dawniejszych, ich złe i dobre pierwiastki i siły. Bardzo pomogło mu do tego wychowanie domowe, otoczenie, tradycye rodzinne i wszystkie osobiste a tak bogate doświadczenia życiowe. Był w nim człowiek dawnych wieków i człowiek dzisiejszy, zjednoczeni w zupełnej zgodzie. Jego własny, osobny tok myślenia i dosadny, czasem jowialny sposób wyrażania myśli, składały w swoim rodzaju postać jedyną — kiedy koleje i zasługi życia składały postać wyjątkowo szlachetną. Kapłan i biskup wyjątkowej gorliwosci, pełen poświęcenia, do nowych ofiar z siebie samego, ze swego zdrowia i życia zawsze gotów, misyonarskim duchem zapalony. W każdej chwili swego ży-



Angielska ofensywa na morzu: Pobojowisko na pokładzie okrętu angielskiego, zatopionego podczas ataku na Ostendę. (Fot. Bufa)

cia pełnił on kapłański i biskupi swój urząd nauczania w rzeczach wiary, a dla sumień obecnych czasów był podporą i drogowskazem, bo w każdem położeniu umiał wskazać, co należy zrobić, czego uniknąć. W jasną przyszłość Polskiej Rzeczypospolitej wierzył i tę wiarę w innych umacniał.

Stąd nasz żal po tym Pasterzu wyjątkowo wielki,



Zgon arcypasterza-patryoty: S. p. ks. arcybiskup Franciszek Albin Symon.

serdeczny, żal tem większy, że odszedł od nas w pełni sił, choć jubilat sędziwy i że w arcybiskupie Symonie żegnamy część historyi, część Ojczyzny, część duszy własnej; dla nas nie człowiek umarł, zgasł jakby ostatni blask minionych czasów, co były



Zgon arcypasterza-patryoty: Wyniesienie zwłok ś. p. arcybiskupa Symona z kościoła Maryackiego.

bliższe Polski niepodległej, a i symbol i żywy świadek męczeństwa Polski, a i ofiara, co widział przykutych do taczek w krainie Sybiru najlepszych synów naszej ziemi, o którego uszy odbijały się wszystkie skargi narodowych męczenników, których zmarły arcypasterz był niejednokrotnie pociechą, obroną i wspomożeniem. On znał, on pamiętał naszych dziadów i ojców, on ich oglądał, kiedy my tylko z powieści o nich wiemy.

Arcybiskup Symon od tych narodowych męczenników nauczył się wierzyć w niezniszczalność Idei niepodległej, zjednoczonej całej Rzeczypospolitej i tą wiarę odchodząc na pamiątkę narodowi swemu zostawia.

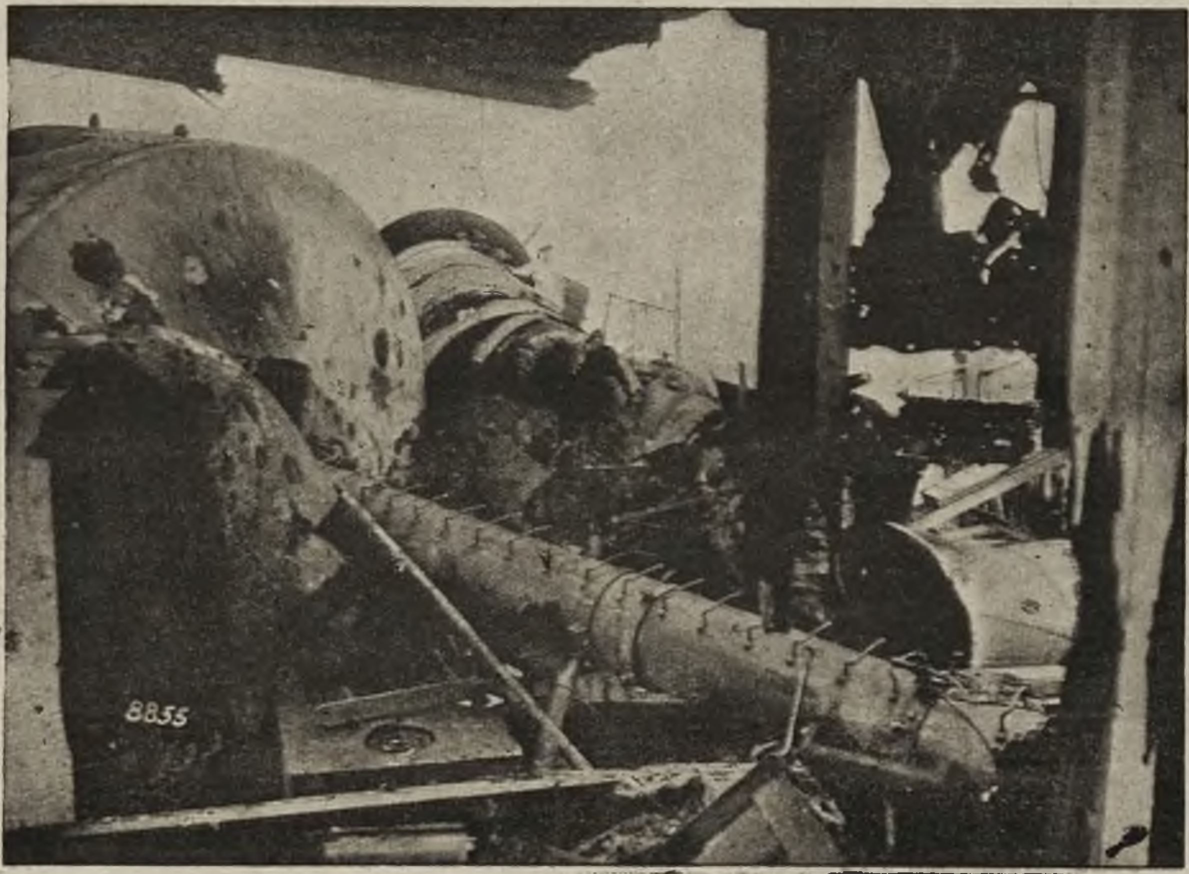
* * *

S. p. ks. arcybiskup Franciszek Albin Symon urodził się w Ziemi Wołyńskiej w Dubowcu 13. marca 1841 r. Po ukończeniu szkół w kraju, wstąpił do seminaryum duchownego w Żytomierzu, a dokończył studyów teologicznych w Insbruku, Paryżu i Rzymie, gdzie też został na kapłana, ze stopniem doktora św. Teologii, w r. 1864 wyświęcony i prymicye swoje odprawił na grobie św. Piotra w Watykanie. Dawszy się poznać kołom fachowym jako uczony badacz Pisma św., został powołany na katedrę profesorską w katolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu, w której piastował następnie godność rektora. Prekonizowany na tytularnego biskupa zenopolitańskiego w r. 1891, konsekrowany w następnym, zostaje sufraganem archi-



Zgon arcypasterza-patryoty: Pogrzeb ś. p. ks. arcybiskupa Franciszka Albina Symona na cmentarzu krakowskim.

dyecezyi mohylowskiej i mińskiej przy arcybiskupie Szymonie Kozłowskim, którego, jako chorego, w zarządzie olbrzymią archidyecezyą co od Mohylowa aż do granicy chińskiej się rozciąga, zupełnie zastąpił. Na stanowisku tem, prawie samodzielnem, syjskiego, niemniej zwycięska, bo żarliwy Pasterz, od r. 1897 płocki, swoje doniosłe reformy przeprowadził, stosunki kościelne uzdrowił, a swą pasterską niewzruszonością i odwagą, swej polskości głośnem, serdecznem wyznaniem podparł, niby ko



Angielska ofenzywa na morzu: Na pokładzie angielskiego okrętu „Vindictive", zniszczonego pociskami artyleryi niemieckiej. (Fot. Bufa)

arcybiskup Symon stał dzielnie, niengięcie wobec wszystkich a rozlicznych zakusów rządu rosyjskiego około stopniowej rusyfikacyi kościoła katolickiego. Walka mężnego biskupa polskiego z potężnym rządem carskim była w swoim czasie głośna i należy też nie tylko do wspomnień osobistych Zmarłego, ale do historyi Kościoła katolickiego w Polsce. Walka zakończona uwięzieniem, a w końcu wygnaniem arcybiskupa Symona z granic imperyum rosyjskiego ... lumna, katolicyzm i polskość w Rosyi. Uczyniwszy to, poszedł śladami Sołtyków i Felińskich, Ledóchowskich i Skórkowskich, na wygnanie, ale nie sam, poszły tam za nim serca polskie.

Nim wypędzono arcybiskupa Symona z Rosyi, zdążył on, pasterz czujny i żarliwy, zwiedzić wielką część owczarni Chrystusowej, przeważnie z Polaków wygnańców złożonej, tak w centralnej, jak i azyatyckiej Rosyi. Był wszędzie. Cieszył wygnańców za Bajkałem, wspierał przykutych do taczek powstańców z r. 1863 leczył serca zwątpiałe w niewoli i niedoli długiej tem dobrem, polskiem słowem i sercem, a nieraz i wsparł materyalnie. Gdy się dowiedział choćby o kilku wygnańcach, pracujących w kopalniach gdzieś o dziesiątki wiorst odległych od jego pobytu, dobry pasterz spieszył tam, na żadne trudności nie zważając. Ile zaznał trudu, to on tylko sam wiedział. Ale ile sprawił dobrego, jak pocieszył mizerne Polski syny, to wypowiedzieć się nie da, to odczuć potrzeba. Spisałoby się księgę dużą, gdyby tylko wybitne fakty z życia apostolskiego zmarłego proboszcza maryackiego przytoczyć. Tu nie sposób. Ale i z tego, co się tu powiedziało, widać kogo Wawelski gród miał przez lat pięć wśród siebie i kogo straciło miasto, Polska i kościół katolicki. Sympatyczna postać uczonego biskupa, pełnego zasług niespożytych Polska patryoty, czułego ogromnie i drażliwego na punkcie honoru polskości, spoczęła na zawsze w sercu Ojczyzny, w Krakowie. Z grobowca jego dotąd odbija się echo protestu przeciw oderwaniu ziem męczeńskich Podlasia i Chełmszczyzny, jaki na parę tygodni przed zgonem wystosował do katolickich Niemców. Tak, ten czcigodny biskup całe życie o niepodzielnej Polsce mówił i za prawa narodu wszędzie się zastawiał, a w miarę możności tych praw strzegł, bronił zawsze i w Europie i w Ameryce i wszędzie, gdzie byli Polacy — on był wśród nich. Bohaterski ten biskup nie opuścił żadnej sposobności, by świadczyć za prawami Rzeczypospolitej. Świadczył on zacny starzec, mimo silnego mrozu, w dniu 18. lutego na rynku krakowskim, stojąc wśród ludu robotniczego, z wyciągniętą ręką do przysięgi, że będzie strzegł wszystkiemi siłami praw Polski. I dotrzymał jej arcybiskup wiernie, do ostatniej chwili życia protestując przeciw bezprawiom i niesprawiedliwościom które niewątpliwie były gwoździem do Jego trumny. Zeszedł do grobu, ale żyje wśród nas świetlany duch arcybiskupa Symona, który pozostawił przykłady nieskazitelnego życia, odwagi i poświęcenia, wiary w lepszą przyszłość narodu i czynnej miłości — duch arcybiskupa patryoty, co życiem całem uczył że „Polska to wielka rzecz".

Józef Stanisław Pietrzak.



Ze wschodniej stolicy kraju: Procesya Bożego Ciała we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Zdobycze „republiki ukraińskiej": Defilada wojsk austryackich przed jenerałem Böhm-Ermolim w Odessie. (Woj. kw. pras)

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J. MIGOWA)

6

Najdziwniejszym wszakże z całego ich obecnego życia był stosunek do Walentyny de Varsennes.

W czasie wybuchu wojny młoda panna przebywała już od lat trzech w domu pani Givreuse. Dawniej było to zupełne dziecko.

Podróże, namiętnie lubiane, zajmowały wówczas umysł Piotra Givreuse.

Zaledwie na dwa miesiące przed wojną jęła się rozwijać w nim miłość ku pięknej pupilce matki. Miłość ta pozostała nieujawnioną.

Piotr uważał, że na żadną przelotną miłostkę niema w tym wypadku miejsca.

Walentyna była gościem w domu Givreuse'ów, a Piotr umiał szanować prawa gościnności.

Miłość ta mogła jedno tylko mieć zakończenie: wspólne życie „na złą i dobrą dolę". Wszystko inne było godnem potępienia. Piotr czekał aby czas mocniej określił wzajemne ich uczucia i wyjaśnił sytuacyę.

W chwili wybuchu wojny młody Givreuse nie wątpił już o sobie. Nie mógł się tylko zoryentować w uczuciach Walentyny. Ona sama zresztą nie zdawała sobie z nich sprawy.

To młode dziewczę nie miało duszy prostej. Jej niedoświadczenie było więcej skomplikowanem, aniżeli doświadczenie wielu innych osób.

Walentyna czuła wszakże żywą sympatyę dla Piotra. Był to jedyny mężczyzna, który pojawił się w jej snach i marzeniach.

W dniu rozłąki zbyt dużo ciemnych chmur przesłaniało przyszłość. Kiedy się żegnali wstrząsnęło nimi coś, jak objawienie. Ale nie wyrazili uczuć swoich słowami.

Obaj młodzi żołnierze zachowali niezatarte wspomnienie tej chwili pożegnania.

Kiedy ujrzeli znowu Walentynę, było im tak, jak gdyby zmartwychwstawali. A każdy z nich wiedział, że tamten odniósł to samo wrażenie.

Nie odczuwali jednak z tego powodu żadnej zazdrości. Byli bardzo dalecy od tego, aby jeden drugiego miał uważać za rywala.

Taki stan duszy młodzieńców nie wpłynął wprawdzie na ich osobiste uczucia, ale musiał odbić się na postępowaniu z Walentyną.

Kochali w milczeniu, skrycie.

Nie widząc wyjścia z tego błędnego koła, uważali, że muszą kryć się ze swoją miłością.

Ta nowość sytuacyi zbijała z tropu dziewczynę. Czasem ogarniało ją głuche przygnębienie. Niekiedy wstyd jakiś zalewał duszę, wstyd graniczący z ogromnem zdziwieniem i z ciekawością gorącą a smutną.

Wstrząsająca chwila pożegnania, nagłe rozświetlenie tajemnicy dwóch serc, były to najpromienniejsze wspomnienia w życiu Walentyny.

Wokół nich snuła się subtelna sieć jej rojeń.

W czasie nieobecności Piotra miłość przycicha, oczom ludzkim niewidzialna, jak gwiazdeczki wiosennych kwiatów gdzieś w głębi boru. Mieszały sie z tem kochaniem wszystkie niepokoje i cierpienia wojny, ale jednocześnie soków żywotnych dodawały mu te siły niezniszczalne, które budują i odbudowują.

Od dnia powrotu, z tymi pierwiastkami, zwykłymi ziemskimi, splątały się inne, niejasne, nieokreślone, niepojęte.

Cała rzeczywistość otaczającego świata zdawała się być niepewną. A jednak miłość trwała, choć trwała w iście fantastyczny sposób.

Walentyna kochała tylko jednego człowieka: „tego który przed wojną mieszkał w zamku Givreuse i którego identyczność nie ulegała żadnej wątpliwości".

Ale jak go odróżnić od tamtego?

Ilekroć znalazła się sam na sam z tym, który objął rolę Piotra, zdawało się jej, że on jest jakiś niepodobny do samego siebie, że jest tylko cząstką.

I to wrażenie zgodne było z rzeczywistością. Każdy z młodych ludzi z osobna nabierał wyglądu niewykończonego w szczegółach, jakby dwuznacznego i stawał się daleko mniej podobny do dawnego Piotra Givreuse.

Walentyna napróżno usiłowała rozumować. Wszelka logika była w tym wypadku niewystarczająca, nędzną, fałszywą.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pani Givreuse, chcąc przyspieszyć wyzdrowienie rannych, postanowiła wyjechać na wieś.

Powrócili do zamku Givreuse, gdzie tylko lewe skrzydło było mieszkalnem.

Pozostała część starej budowli stanowiła królestwo nietoperzy. Prócz nich gnieździły się tam w dziurach wrony i ptaki morskie. Mchy i dzikie bluszcze porastały ruiny. Wichry, wiejące z Atlantyku hulały wśród drzew karłowatej dębiny.

Ale lewe skrzydło urządzone było wygodnie i z komfortem. Kamień suchy, niespleśniały. Okna niby wielkie oczy zwracały się ku słońcu, które rodzi się tam na równinie, a w wodzie zamiera. Mury z tego samego granitu co skały nadmorskie, widniały niespękane, dzikie, oporne.

W tym to dzikim zakątku dwaj młodzi żołnierze i panna de Varsennes wiedli żywot szczególniejszy, zaledwie zdając sobie sprawę z niezwykłości położenia.

Wieczny szum fal, huk przypływu i odpływu, ryk wichrów morskich niosących wonie z dalekich ziem, noce długie, starożytne mury zamku, a w nich uwięzione wspomnienia o pokoleniach niegdyś tak bujnych, a tam w oddali szeroka rozległa pusta równina, wszystko to harmonizowało dziwnie z rzeczami tajemniczemi, nieogdadnionemi.

A miłość potężniała w sercu Piotra i Filipa, tem silniejszą była, im oni sami słabsi.

I kwitła w sercu Walentyny bolesna i trwożna, równie czysta jak srebrzysta fala, która w księżycowe noce zdawała wznosić swe niewyczerpane wody aż pod niebo.

Tymczasem metamorfoza, dokonywująca się w obu młodzieńcach, nie zatrzymała się w swoim biegu.

Intenzywne odżywianie powracało im utraconą energię i wydatnie zwiększało ich gęstość, ponieważ ta zdumiewająca anomalia, którą zauważono w Gavres, istniała jeszcze ciągle.

W połowie grudnia ważyli po pięćdziesiąt pięć kilo, chociaż w tuszy ich nie dała się zauważyć żadna widoczna zmiana.

Twarz wyglądała już zupełnie normalnie. Policzki wypełniły się, ale cała postać pozostała szczupłą i smukłą.

Dokonywała się w nich także metamorfoza psychiczna albo raczej fizjologiczna. Odnosili się wprawdzie do siebie z jednakową ciągle tkliwością, jednakowoż nerwy ich stawiały już mocniejszy opór w chwilach rozłąki.

Obecnie trzeba było już dość długiego czasu, aby z całą siłą wystąpiło osłabienie, lęk i poczucie samotności, wywołane nieobecnością jednego z nich.

Oczywiście skoro nie byli razem, to wkrótce odczuwali pewną niemoc, ale niemoc ta była do zniesienia dłużej nawet niż przez godzinę.

Dopiero po upływie tego czasu przechodziła w istotne cierpienie. Obaj młodzi ludzie niechętnie poddawali się tej próbie, ale uznawali jej konieczność.

Zresztą był ktoś, kto ich do tego poniekąd zmuszał.

Człowiek bystry przenikliwy, energiczny zainteresował się nimi i narzucał swoją wolę. Człowiekiem tym był stary lekarz chorób nerwowych, Bernard Savarre.

Sanatoryum Savarra kryło się wśród skał nadmorskich, otoczone dokoła bezbrzeżnemi równinami. Pacyenci w tym zakładzie leczniczym zaliczali się do rzędu istot najdziwaczniejszych.

Sam doktor chociaż od lat dwudziestupięciu obcował ciągle z neurastenikami i maniakami zachował umysł zdrowy i trzeźwy wbrew twierdzeniu, że rostrój nerwowy udziela się tak łatwo jak choroby zakaźne. Temu tajemniczemu wpływowi chorobowemu ulegali zresztą inni lekarze w zakładzie, jakoteż pielęgniarze i pielęgniarki.

Po doktorze Savarre spływały te wrażenia bez śladu. Sam nieraz dziwił się tej swojej odporności.

Był to duch wolny. O tyle oczywiście wolny, o ile pozwala odwieczna ułomność natury ludzkiej.

Wierzeń religijnych nie zastępował żadnymi przesądami ludzi nauki. Nic nie wydawało mu się niepodobnem do wiary. Według niego absurd nie istniał.

— Czemże jest rozum jeśli nie krystalizacyą minionych doświadczeń? Historya pokazuje nam, że gasły najpiękniejsze jego słońca. Jakże Platon wydaje się teraz niejasnym, a Arystoteles wprost politowania godnym. A przecież ci dwaj, były to mózgi niezrównane.

Jednakowoż przygoda Givreuse'ów oszołomiła doktora. Szukał podobnego wypadku w starodawnych tekstach z przed lat tysiąca. I nie znajdował.

Uparł się, aby dojść rdzenia tej najdziwaczniejszej w świecie przygody. Uważał, że będzie to rzeczą donioślejszą, aniżeli wszystkie znane i stwierdzone odkrycia i prawdy naukowe.

Przedewszystkiem zastanowiła go nienormalna waga obu młodzieńców. W chwili kiedy ich zobaczył, ważyli każdy niecałe czterdzieści pięć kilogramów.

Ciężar ten pozostawał w rażącej sprzeczności z objętością ich ciała.

Filip lub Piotr powinni byli stosownie do swego wzrostu i obecnej tuszy ważyć około siedmdziesiąt kilo.

A nie ulegało to żadnej wątpliwości, że waga Piotra przed odjazdem na front wynosiła siedmdziesiąt sześć kilo.

Savarre usilnie dopytywał się o miejsce, gdzie Piotr padł ranny. Neurolog zapisał sobie w pamięci, że ich znaleziono gdzieindziej.

— Co pan o tem sądzi? — zapytał go pewnego razu lekarz Givreuse'ów, człowiek tak pewny i zaufany, że wtajemniczono go we wszystko.

— Nic jeszcze nie sądzę. Wszystko jest nieskończenie mgliste. A jednak czy możemy wskazać dużo prawd naukowych równie pewnych, jak jedność osobowości tych dwóch ludzi?

Tamten aż podskoczył. Spojrzał na Savarra z ukosa.

— Jedność? Więc pan sądzisz, że jeden i drugi jest Piotrem Givreuse?

— Nie widzę powodu, by o tem wątpić. Dowody są przekonywujące... Niech mnie pan zrozumie: ja nie twierdzę, że ci dwaj młodzieńcy są jednym człowiekiem, ale powiadam iż wszystko naprowadza mnie na myśl, że... obaj powstali z jednego i tego samego osobnika.

— Ależ kolego! — krzyknął doktor Morlay, bo jego zdrowy rozum buntował się — nie zechcesz pan przecież wysuwać przypuszczenia, że każdy z nich stanowi cząstkę Piotra?

— Właśnie to chciałem powiedzieć. Przebiegłem myślą wszystkie możliwe kombinacye. I pozostaje tylko rozdwojenie.

— To niepodobna!

— To sprzeciwia się tylko dotychczasowemu doświadczeniu ludzkiemu. Nikt nie widział nigdy aby z jednego człowieka, jednego lwa, jednej żaby, jednego kraba tworzyło się sposobem „bipartycyi" dwóch ludzi dwa lwy, dwie żaby, dwie ryby, dwa kraby... A jednak nie przeszkadza to faktowi, że biparycya jest najpierwotniejszym sposobem rozmnażania. Kto wie? Być może, iż w historyi istot żywych był okres, kiedy te istoty mnożyły się nie inaczej, jak dzieląc się na dwoje. Nie zapominajmy, drogi przyjacielu, że ciało nasze jest zbiorem komórek, w których się ten właśnie proces podziału dokonuje.

— A zatem pan przypuszcza, że Piotr Givreuse...

Doktor Morlay nie dokończył bo hipoteza ta zdawała się wedle niego graniczyć z obłędem.

— Powiedziałem już, że niczego nie przypuszczam... Ograniczam się na razie do wyrażenia jednej z dwóch konkluzyi, które mi podsuwa ułomna logika. Ta konkluzya, co prawda, już sama w sobie nie bardzo stoi na pewnych nogach, a staje się jeszcze chwiejniejszą jeżeli chcieć ją dokładnie określić. Bo trzebaby przypuścić, że nietylko z każdej komórki w organiźmie Piotra Givreuse powstały dwie komórki, ale że każda cząsteczka mineralna, czy pseudomineralna, podzieliła się w analogiczny sposób. Naprzykład, że z jednego włosa powstały dwa włosy... Jasne, że jest to potworny absurd. Ale absurd nie powinien nas powstrzymywać. Wykazuje to nam na każdym kroku historya wiedzy.

Umilkli. Żółtawa przedtem tarcza księżyca zaczerwieniła się i zanurzyła w fali. Słychać było niemiłe, złowieszcze hukanie sów.

— Gdyby to jednak był cud!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Nowe jabłko niezgody na Bałkanach: Rumuński prezydent ministrów Marghilmann podpisuje traktat pokojowy (Fot. Bufa).

Nowe jabłko niezgody na Bałkanach.

W osławionym „kotle bałkańskim“ przybyło nowe jabłko niezgody. Dorzucił je z takim trudem preparowany pokój z Rumunią w postaci nierozstrzygniętych losów Dobrudży, stanowiącej spór pomiędzy Rumunią a Bułgaryą. Podpisanie traktatu pokojowego z Rumunią nie usunęło także sporu pomiędzy obecnymi sojusznikami, bo sporu turecko-bułgarskiego. Słowem wszystkie przeciwieństwa bałkańskie nietylko pozostały, ale zrodziły się nowe zatargi i nowe apetyty.

Aby zrozumieć wytworzoną obecnym traktatem pokojowym sytuacyę, trzeba przypomnieć sobie genezę sporu. Jak wiadomo, układem z d. 6 września 1915 r. odstąpiła Turcya Bułgaryi pas ziemi wzdłuż Maricy tudzież obszar koło Adryanopola. Była to niezbyt miła dla Turków transakcya, zwłaszcza, iż od tego czasu musieli, chcąc dostać się do Adryanopola, jeździć przez terytoryum bułgarskie. Niemniej jednak była ona konieczną, gdyż od tych ustępstw uczyniła Bułgarya zależnym swój udział w wojnie.



Nowe jabłko niezgody na Bałkanach: Ładowanie towarów na okręty w Konstancy. (W. k p.)

Tymczasem stan rzeczy, służący za podstawę układom z r. 1915, wskutek późniejszych wydarzeń wojennych uległ zmianie. Wystąpiła zbrojnie Rumunia, potem Grecya i dzięki temu, już przy realizowaniu pierwszego pokoju bałkańskiego (z Rumunią) wyłonił się pierwszy szkopuł. Jak wiadomo, w wojnie z Rumunią brały udział wszystkie państwa czwórprzymierza, wskutek czego wszystkie wystąpiły z roszczeniami do nagrody. Chodziło tu o starą Dobrudżę, gdyż „sprostowanie granic“ na rzecz Austro-Węgier, tudzież zwrócenie zabranej Bułgaryi w r. 1913 t. zw. nowej Dobrudży „nie liczyło się“.

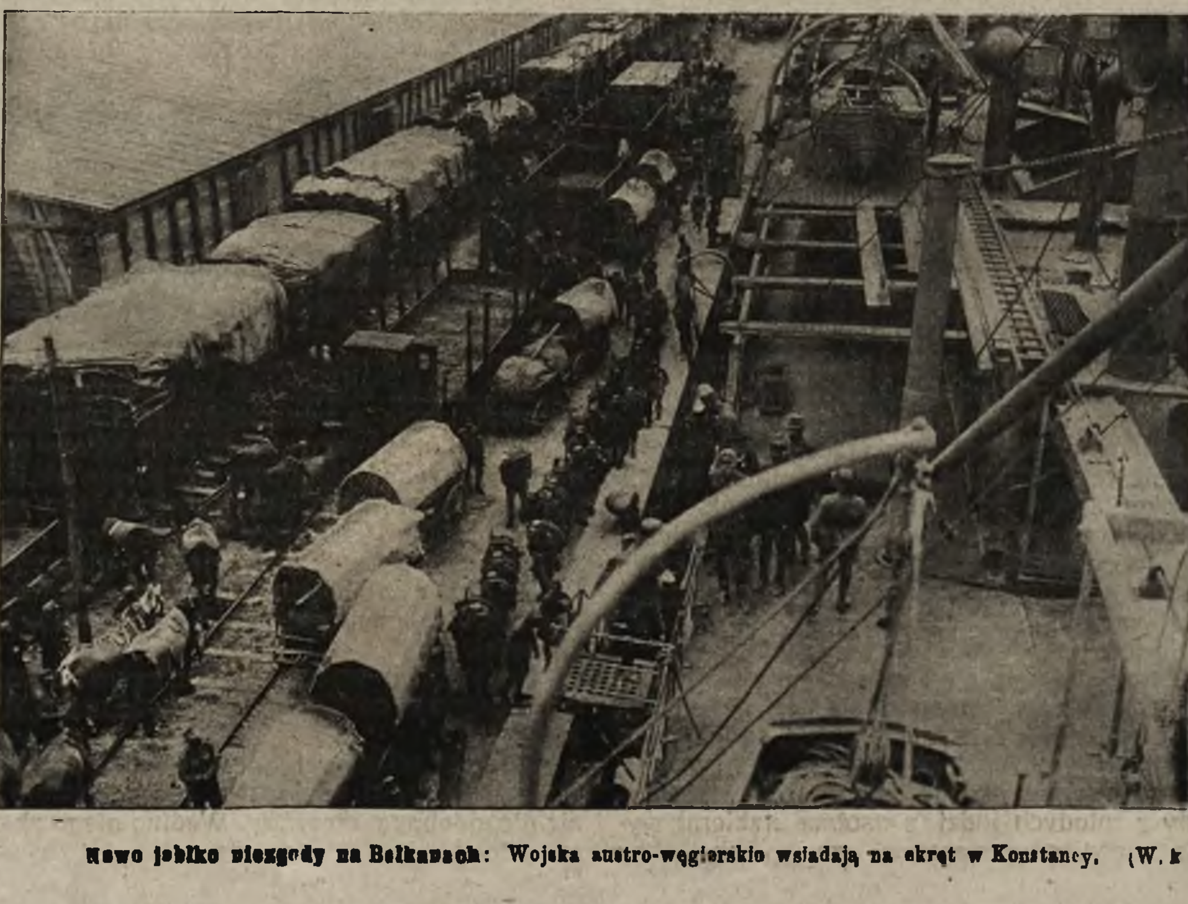
Rozpoczęły się tedy targi o Dobrudżę, targi prowadzone po jednej stronie przez Bułgaryę dla której Dobrudża jest starą ziemią bułgarską, po drugiej zaś przez pozostałe państwa czwórprzymierza. Porozumienie z Austro-Węgrami i Niemcami nie napotkało na większe trudności. Wedle informacyi prasy berlińskiej, za ustąpienie Bułgaryi udziału Niemiec, zobowiązała się Bułgarya uznać bezapelacyjnie wszystkie pretensye Niemiec za dostawy wojskowe w kwocie półtora miliarda marek, jak również skonwertować je w Niemczech na $4^1/_2$ procent, dalej uznać zaczepianą przedtem umowę co do eksploatacyi bułgarskich kopalń w Permik i Bor i oddać Niemcom udział swój w zdobytem na Rumunii zbożu, w końcu przekazać administracyę portu w Konstancy i kolei Czernawoda Konstanca spółce niemiecko-bułgarskiej. Podobnie ułożono się z Austro-Węgrami. Bułgarya zobowiązała się zwrócić monarchi za materyał wojenny 450 milionow koron, a nadto zezwolić, by celem skrócenia biegu Dunaju przekopano kanał przez powiat Niegotin, należący dotychczas formalnie do Serbii.

Gdy układy z obu cesarstwami doszły do skutku ze względną łatwością, z oporem wystąpiła Turcya. Za odstąpienie swego udziału w Dobrudży zażądała ona zwrócenia odstąpionych Bułgaryi w r. 1915 obszarów, a nadto domagała się przyrzeczenia, że na wypadek gdy w spadku po Grecyi przypadną Bułgaryi stosownie do postulatów bułgarskich również Drama, Seres i Kawalla (t. zw. Macedonia grecka), w takim razie bułgarsko turecka linia graniczna przesunięta zostanie aż do rzeki Mesty, czyli, że Dedeagacz przypadnie z powrotem Turcyi.

Żądania tureckie rozpętały w Bułgaryi wielką burzę, a również i w Konstantynopolu stanowisko bułgarskie podnieciło w niebywały sposób opinię publiczną. Rozpoczęły się za pośrednictwem Berlina i Wiednia rokowania ugodowe, podpisanie traktatu pokojowego z Rumunią raz po razu odraczano z dnia na dzień, aż wreszcie, gdy pośrednictwo zawiodło, zgodzono się, by pokój z Rumunią podpisać, zaś decyzyę co do przyszłości starej Dobrudży odroczyć na późniejsze czasy. Tymczasem Dobrudża ma stanowić condominium wszystkich czterech państw



Nowe jabłko niezgody na Bałkanach: Wojska austro-węgierskie w Konstancy (Woj. kw. pr.)



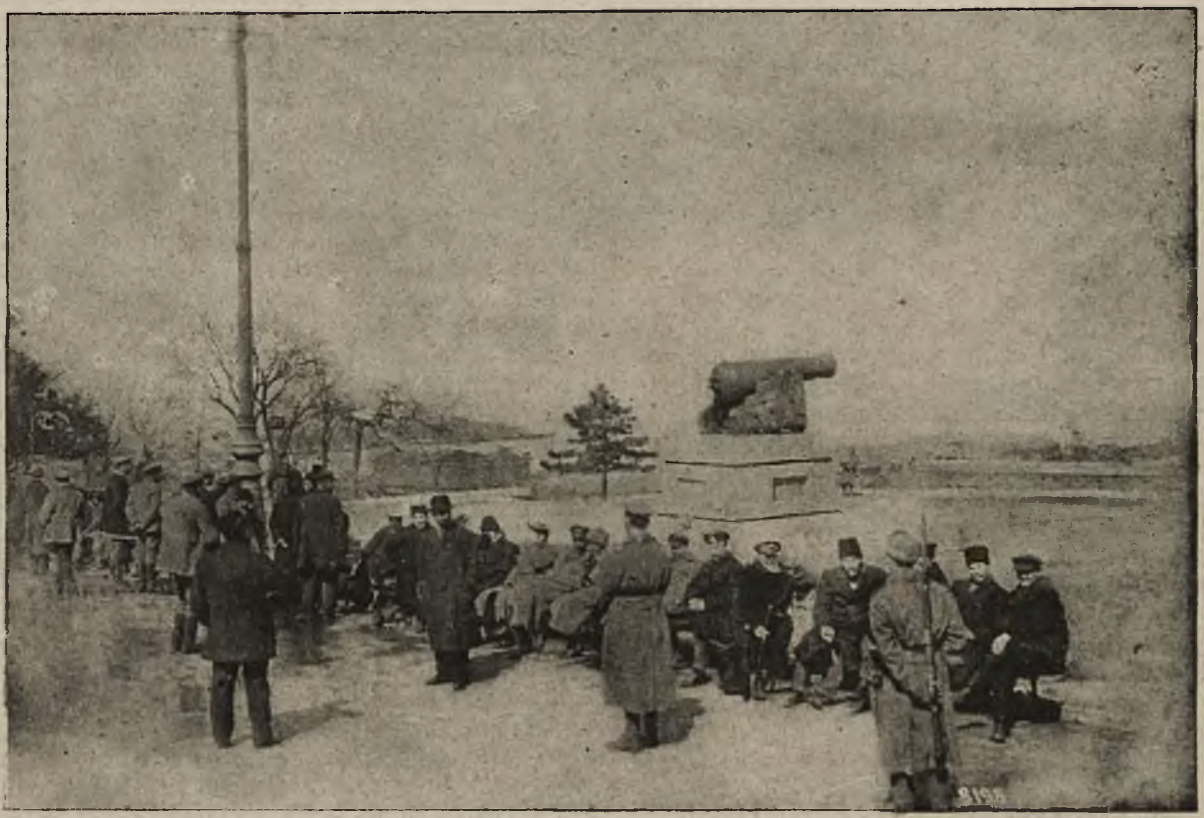
Nowe jabłko niezgody na Bałkanach: Wojska austro-węgierskie wsiadają na okręt w Konstancy. (W. k p.)

czwórprzymierza, przy równoczesnem zawieszeniu omówionych powyżej umów bułgarsko niemiecko-austryackich.

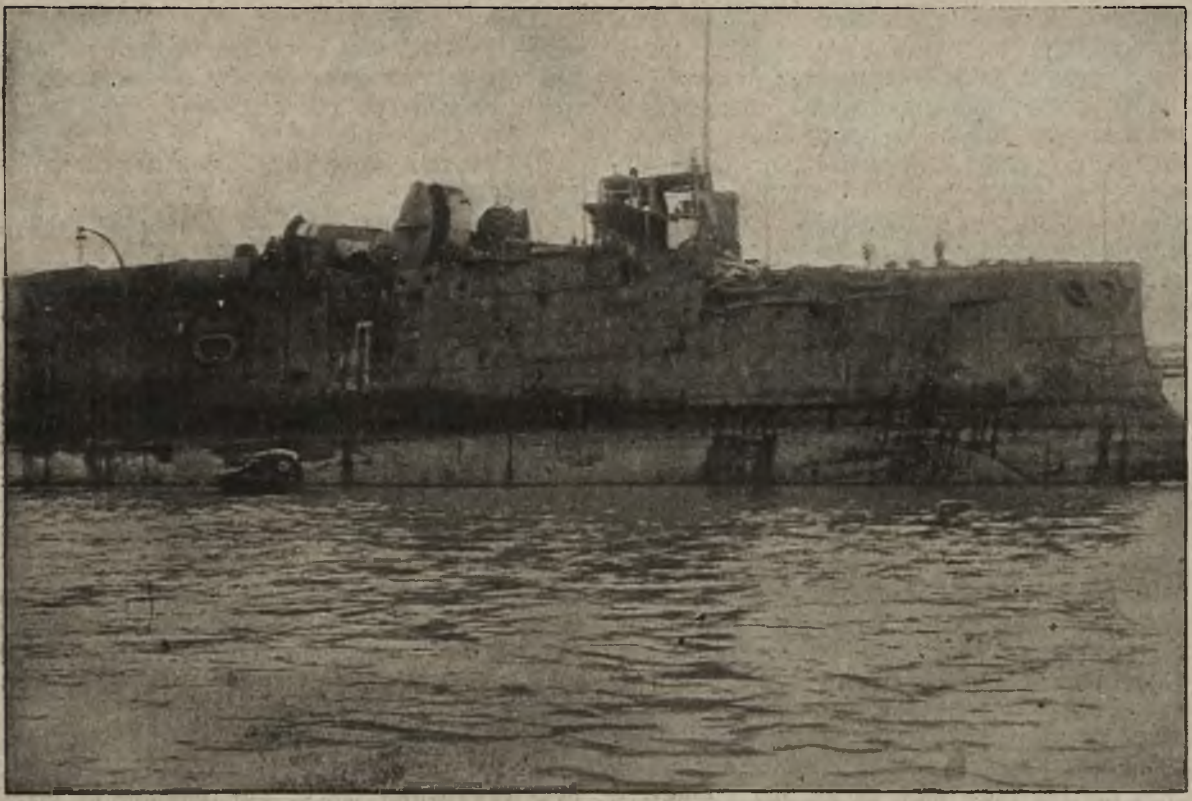
To condominium Dobrudży z ważnym portem Konstancą stanowić będzie niewątpliwie nowe jabłko niezgody na Bałkanach.

Zdobycze „republiki ukraińskiej".

„Republika ukraińska" coraz bardziej się rozszerza. Wojska niemieckie, które „na prośbę" rządu p Sewrinka i Hołubowicza poszły zdobywać Ukrainę, usadowiły się na dobre nie tylko nad morzem Czarnem, ale zajęły już Krym, poszły nad Don i dotarły podobno nad Wołgę. Jeśli tak dalej pójdzie. to niebawem cała Rosya zostanie zaanektowaną przez „republikę ukraińską". Pomimo jednak tych „zdobyczy" nowego państwa — Ukraińcy nie mają bynajmniej powodu do zbytniej radości. Bo im bardziej rozszerzały się granice Ukrainy, tem mniejszą stawała się władza ukraińskiego rządu, aż wreszcie skończył on swój operetkowy żywot, rozpędzony przez kilkunastu żołnierzy niemieckich. Na Ukrainie objął władzę dyktator Skoropadski i utworzył rząd, w którym niema prawie tak zwanych Ukraińców, a i sam jenerał Skoropadski swoje „credo" polityczne streścił w złożonym swego czasu rządowi carskiemu memoryale, w którym udowadniał czarno na białem, że niema wogóle ani języka ani narodu ukraińskiego, a ukrainizm jest tylko sztucznym wytworem... austryackim.



Zdobycze „republiki ukraińskiej": Promenada w parcie odeskim, strzeżonym przez posterunki austryackie. (Fot. Bufa.)



Angielska ofensywa na morzu: Zniszczony okręt angielski „Vindictive" w pobliżu Ostendy (Fot Bufa)

Takiego władcę otrzymało „państwo ukraińskie". Na czem zresztą ma polegać „ukrainskość" tego państwa, można było mieć pewne wątpliwości już wtedy, gdy u steru władzy stał dawny rząd, złożony z najzagorzalszych Ukraińców. Bo i ten rząd musiał dopuścić do urzędowania język rosyjski, ponieważ okazało się, że naród ukraiński w państwie ukraińskiem nie rozumie przedewszystkiem... po ukraińsku. To też już wtedy dochodziło do humorystycznych epizodów, zwłaszcza w anektowanych świeżo przez „ukraińskie państwo" miastach. Mieszkańcy gromadzili się przed rozlepionym po mieście manifestem „ukraińskiego rządu", kiwali głowami, pytając jeden drugiego, co to ma znaczyć. Zwłaszcza w Odessie manifest ukraiński wywołał szczególnie wesołą sensacyę. Na tem też skończył się jedyny przejaw ukraińskiej władzy w tem najważniejszem mieście portowem nad morzem Czarnem. Ludność zetknęła się natomiast bezpośrednio z wojskowemi władzami okupacyjnemi, które sprawują dziś faktyczne rządy w Odessie.

Jak donoszą pisma miejscowe, dnia 29. kwietnia rozpoczęło się w Odessie z polecenia dowództwa wojskowego rozbrajanie ludności miejskiej. — W związku z tem wyłączono wszystkie telefony. Rozkaz o oddaniu broni głosił, iż do godziny 10 zrana wszystka broń powinna być złożona na ulicach. Jednocześnie ukazały się biuletyny o wypadkach kijowskich. Na ulicach skoncentrowano znaczną ilość wojska, zwłaszcza w dzielnicach robotniczych. W ciągu dnia odbywały się rewizye i aresztowania osób, które nie oddały broni.

„Odeskia Nowosti" stwierdzają, iż broń dobrowolnie oddawana była tylko przez intelligencyę i wojskowych; w dzielnicach robotniczych wyrzucano przeważnie popsutą broń na ulicę, podejrzane zaś elementy, których rozbrojenie miała przeważnie na widoku władza wojskowa, oddawać broni ani myślały.

W gmachu rady miejskiej dokonano rewizyi. Wszystkie wejścia obsadzone zostały przez warty austryackie. Rewizya trwała dwie godziny. Prócz kilku rewolwerów, przechowywanych w kasach w celu obrony na wypadek napadu lub rabunku — nic nie znaleziono.

Poza tem nie było innych wydarzeń w Odessie w związku z „rewolucyą" kijowską. Objęcie władzy przez „dyktatora" Skoropadskiego nie zmieniło w niczem sytuacyi miasta, które, po bolszewickich eksperymentach wolnościowych, zaczyna wracać do normalnego życia.

To życie Odessy po wkroczeniu tam wojsk sprzymierzonych przedstawiają nasze illustracye.



Zdobycze „republiki ukraińskiej": Ruch uliczny w Odessie po wkroczeniu wojsk sprzymierzonych. (F. Bufa)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

27

— Czy mamy już jechać? — zapytał pochylając się do drzwiczek powozu.

— Jedź, a uważaj, żebyś nas gdzie nie wywrócił! — zawołał Lopez.

— Niema obawy, proszę pana.

Rozległ się suchy trzask bata i konie ruszyły galopem. Powóz toczył się szybko przez wąskie i kręte uliczki miasteczka. W kilka minut później podróżni znaleźli się wśród pól szerokich i rozległych, skąpanych promieniami wschodzącego księżyca.

Lopez umieścił się wygodnie i zapalił cygaro. Frank wkrótce poszedł za jego przykładem. Spuścili szyby karety. Noc była pogodna i spokojna, powietrze czyste, przepojone zapachami pól okolicznych.

— Okolica ta jest rzeczywiście prześliczna! — zawołał nagle Lopez, budząc się z zamyślenia.

— Cudowna! — przyznał Frank.

— Gdybym tu kiedy zamieszkał, jestem pewny, że zapomniałbym wkrótce o Ameryce.

— A jednak dążymy do niej — zauważył młody człowiek.

— Skoro zapragnąłeś sam tego.

Frank westchnął lekko i spojrzał w niebo roziskrzone gwiazdami.

— Czyż posiadam jaką wolę? — odparł obojętnym i smutnym głosem.

— A dlaczego jej nie masz? — zapytał żywo Lopez, zwracając się twarzą do niego.

— Nie wiem... Odkąd ten nieszczęśliwy Compans został zasądzony na dożywotnie więzienie i majątek ojca został mi przywrócony, odkąd wreszcie mógłbym czuć się szczęśliwym, zdaje mi się, że nagle jakaś pustka straszna otoczyła mnie i pomimo wszystkich zadośćuczynień, których mi los nie poskąpił, zdaje mi się, mój przyjacielu, że nie dosięgnę nigdy tego szczęścia, o którem marzyłem, a które jedynie mogłoby wypełnić i zmienić na zawsze moje życie.

Lopez spojrzał na Franka z miną, mającą wyrażać zdziwienie.

— Jakie szczęście, mój kochany, o jakiem szczęściu mówisz? — zapytał z lekką ironią.

— Spokój — brzmiała krótka odpowiedź.

— Czy czujesz się już tak zmęczonym?

— Czuję, że ostateczne zmęczenie i zniechęcenie ogarnie mnie wkrótce.

Lopez wzruszył ramionami.

— No, no, mój kochany siostrzeńcze — odpowiedział wesoło — odpędź te smutne myśli, proszę cię. One są nie zdrowe dla ciebie. W twoim wieku, przy twoim majątku, życie ci dać może jeszcze wiele chwil dobrych i przyjemnych. Nie trzeba tylko tak zniechęcać się.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewny. A zresztą powiedz mi, czego ci właściwie brakuje? Morderca twojego ojca został odnaleziony i ukarany, skazany na dożywotnie ciężkie roboty i w tej chwili odsiaduje swoją karę. Córka jego znikła, lecz ty nie możesz sobie względem niej nic wyrzucać.

— Kto wie, co się stało.

— Zaręczam ci, że Oktawiusz Gaudin ożenił się z nią, kiedy go doszła wiadomość, że zrzekasz się części swojego majątku na jej korzyść. Co zaś do Paskala, ten naprawdę szczęśliwie wyszedł z całej tej sprawy.

— Sąd okazał się dla niego bardzo łaskawy — zauważył młody człowiek.

— Rzeczywiście. Umiał dobrze odegrać rolę nieszczęśliwej ofiary i wiernego sługi i sąd go uwolnił. Jabym był inaczej z nim postąpił, ale trudno. Chyba nie jego marną osobą zajmujesz się obecnie, mój kochany.

— Skądże to przypuszczenie?

— No, oczywiście. Zginie gdzieś marnie, tak jak sobie na to zasłużył. Więc czegóż chcesz właściwie i nad czem tak rozmyślasz? Cała ta smutna sprawa szczęśliwie dla nas przeprowadzoną została. Zwolniony jesteś na przyszłość od tego ciężkiego obowiązku, który tak długo ciążył na życiu twojem. Jesteś młody, wolny i bogaty. Nikt nie krępuje twoich kroków, pójdziesz tam, gdzie zechcesz. Czegóż więc jeszcze pragnąć możesz? Dlaczego widzę na twojej twarzy ten ciągły cień smutku i zamyślenia? Powiedz mi, Franku, skąd to pochodzi?

Frank uśmiechnął się melancholijnie na te słowa. Chciał na nie coś odpowiedzieć, kiedy nieprzewidziany wypadek przeciął od razu wątek rozmowy.

Już od pewnej chwili księżyc skrył się za chmurami i szary mrok rozpostarł się wokoło. Powóz zjeżdżał właśnie z dosyć ostrej pochyłości i nie wiadomo, czy pocztylion chciał wykazać dowód swej zręczności lub lekkomyślności, bo rozpuścił konie galopem i powóz staczał się w zawrotnym biegu na dół.

Z początku Frank, zajęty jeszcze swojemi myślami, nie zwracał na to uwagi. Nie dostrzegł szybkiego galopu koni, ale wkrótce niespokojne podrzucanie powozu na boki i oszałamiający turkot kół rozbudził go z zamyślenia.

Pochylił się przez drzwiczki powozu, obserwując.

Powóz pędził coraz szybciej.

— Ten pocztylion chyba oszalał — zwrócił się do Lopeza — pędzi na złamanie karku.

— Może jest pijany — zauważył ten ostatni — widziałem, jak w zajeździe raczył się winem.

— Ale my zjeżdżamy z bardzo bystrej pochyłości... może tam przepaść, której nie widzi. Zobaczysz, że nas jeszcze wywróci.

Lopez uśmiechnął się lekko.

— Uspokój się, mój kochany — rzekł spokojnym głosem — O niebezpiecznych przepaściach czytamy tylko w sensacyjnych powieściach, gdzie robią dobry efekt. Ale znajdujemy się tutaj na drodze gładkiej i równej i nie przypuszczam, aby nam groziło jakie niebezpieczeństwo. Nie sądziłem, że masz tak przeczulone nerwy. Mnie ta jazda szybka dosyć się podoba.

— Tak, przyznaję, o ile mielibyśmy pewność, że powóz się nie wywróci. Uważaj tylko, jak przechyla się na wszystkie strony.

— Nie denerwuj się, Franku — odparł spokojnie Lopez, zapalając papierosa.

— Nie denerwuję się, ale...

— Ale co? W najgorszym razie wywrócimy się...

— Dziękuję ci za tę przyjemność.

— I jeżeli to nastąpi, postarajmy się wczas wyskoczyć, aby się nie narazić na potłuczenie, bo tego rzeczywiście wcale nie pragnę.

Lopez nie dokończył jeszcze tych słów, kiedy powóz przechylił się gwałtownie na bok, konie szarpnęły silnie, a nasi podróżni znaleźli się w rowie, ciągnącym się wzdłuż drogi. Na szczęście rów ten nie był głęboki i tak zarośnięty gęstą i miękką trawą, że powóz potoczył się tylko łagodnie i legł na boku bez zbytniego wstrząśnienia.

Lopez otworzył szybko drzwiczki, wyskoczył i pomógł Frankowi wysiąść.

— A co, nie mówiłem, że się tak stanie! — zawołał młody człowiek rozdrażnionym głosem.

— Miałeś słuszność, Franku, ale niebezpieczeństwo nie okazało się tak wielkie. Widzę, że nasz pocztylion przy całej swojej niezręczności jest wcale zręcznym człowiekiem.

— Jeszcze go bronić będziesz? — zawołał Frank. — Gdzieś się ukrył ten nicpoń.

— Daj mu spokój, widzisz przecież, że się nic złego nie stało. Upadliśmy mięciutko, jak na poduszki, a konie zdrowe i całe.

— Więc jeszcze go chwalić zamierzasz?

— Oczywiście. Ta katastrofa mogła się gorzej zakończyć. Jeżeli tylko oś powozu nie pękła, będziemy mogli za chwilę ruszyć w drogę, jak gdyby się nic nie stało. No, cóż tam przyjacielu? — zawołał Lopez, zwracając się do pocztyliona — stało się jakie nieszczęście?

— Oś od powozu pękła, prosze pana — odparł pocztylion głosem, w którym nie czuć było wcale zmieszania, przeciwnie, brzmiał w nim odcień złośliwości.

— Ładna historya! — zawołał Frank z rozdrażnieniem. — Oś pęknęła! Znajdujemy się w szczerem polu, daleko od wszelkich zabudowań ludzkich i będziemy zmuszeni czekać tutaj kilka dobrych godzin, zanim ta szkoda naprawioną zostanie! Ładne położenie, niema co mówić!

— Ależ Franku! Nie irytuj się — próbował uspokoić go Lopez.

— Chciałbym posiadać twoją zimną krew. Widzę, że cała tę nieprzyjemność przyjmujesz bardzo cierpliwie i zazdroszczę ci!

I podczas kiedy Frank dalej się irytował, narzekając na niezgrabność pocztyliona całego świata, Lopez, który obserwował okolicę, dostrzegł przy blasku księżyca, który na szczęście znowu wypłynął z za chmury, dom, wznoszący się w niewielkiem oddaleniu, o dosyć sympatycznym i zachęcającym wyglądzie.

Podzielił się natychmiast swojem odkryciem z Frankiem.

— Widzisz, mój kochany — rzekł wesoło — że los dla naszego położenia okazuje się bardzo łaskawym. Pocztylion wsiądzie na jednego konia i pojedzie do wsi po pomoc i podczas kiedy powóz naprawiać będą, my udamy się do tego domu, który tam widzisz i poprosimy o chwilową gościnność. Przypuszczam, że jej nam udzielą chętnie.

Frank nie odpowiedział. Rzeczywiście nie było innego wyboru, tylko iść za radą Lopeza, co też uczynił, klnąc w duszy na nieprzyjemną przerwę podróży.

Lopez tymczasem rozmawiał jeszcze z pocztylionem, dając mu jakieś zlecenia.

— Czy pan zadowolony ze mnie? — zapytał pocztylion, pochylając się poufale do ucha Lopeza.

— Udało ci się doskonale, mój przyjacielu — zaśmiał się serdecznie ten ostatni.

— A więc zarobiłem moje sto franków?

— Zarobiłeś uczciwie.

Mówiąc to Lopez, wsunął mu w rękę kilka sztuk złota.

— Do usług pana! — rzekł pocztylion — jeżeli pan kiedy będzie przejeżdżał tędy i zapotrzebuje mojej pomocy, to się polecam.

Lopez uśmiechnął się.

— Dobrze, mój kochany, będę pamiętał o tobie. Ale jak na teraz musisz się zająć gorliwie naprawą naszego powozu.

— To się zrobi.

— Musisz na to zużyć dwa dni czasu — nieprawdaż?

— Mogę zużyć i ośm jeżeli to panu potrzebne — odparł żywo pocztylion.

— Tyle nie potrzeba. Dwa dni wystarczą zupełnie. Wiesz, dokąd się teraz udajemy?

— Wiem, proszę pana.

— A więc za dwa dni tam po nas zajedziesz, pamiętaj za dwa dni.

— Nie zapomnę.

Pocztylion ukłonił się nizko i Lopez pobiegł dogonić Franka.

\- - - - - - - - - - - - - - - -

W chwili, w której nasi podróżni dojeżdżali do miasteczka Jagon, gdzie mieli zmienić konia, człowiek może pięćdziesięcioletni schodził przyspieszonym krokiem ze wzgórka, z którego trochę później powóz, unoszący Franka i Lopeza, miał się stoczyć, powodując przerwę w ich podróży.

Była godzina dziesiąta.

Człowiek szedł szybko, wspierając się na grubej, węzłowatej lasce, nie rozglądając się, patrząc prosto przed siebie z uporem.

Lecz kiedy zeszedł już z pochyłości i znalazł się na równej drodze, przystanął nagle, badając uważnie bystrym wzrokiem okolicę. Musiał po chwili dostrzedz dom, bielejący pośród drzew, bo natychmiast ruszył naprzód, przeskoczył lekko rów i szedł dalej przez pola jeszcze bardziej ożywionym krokiem.

Twarz jego jaśniała zadowoleniem.

Dom, do którego podróżny zmierzał, był dosyć mały, lecz z daleka nęcił wzrok malowniczem położeniem i śnieżno białemi ścianami, odbijającemi się żywo na ciemnem tle gęstych drzew.

Składał się on z parteru i pierwszego piętra i otoczony był wokoło rozległym angielskim ogrodem, zabezpieczonym murem, w którym z daleka już błyszczała nieduża żelazna, złocona furtka.

Nieznajomy zatrzymał się przed tą furtką i pociągnął za sznurek od dzwonka.

Natychmiast ruch jakiś dał się odczuć we wnętrzu domu i stara kobieta, trzymając latarkę w ręce, ukazała się na ścieżce.

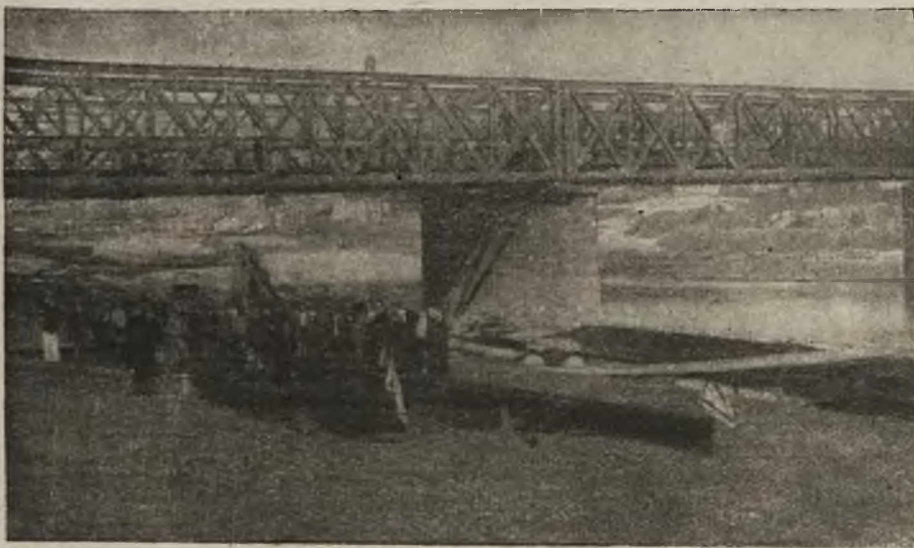
Powolnym, jak gdyby wahającym się krokiem, podeszła do furtki, patrząc nieufnie na tak zapóźnionego gościa. Podróżny schylił kapelusza.

— Czego pan żąda? — zapytała stara kobieta, podnosząc latarkę do wysokości twarzy podróżnego.

— Chcę się widzieć z waszą panią.

— O tej porze — mruknęła stara.

(Ciąg dalszy nastąpi).

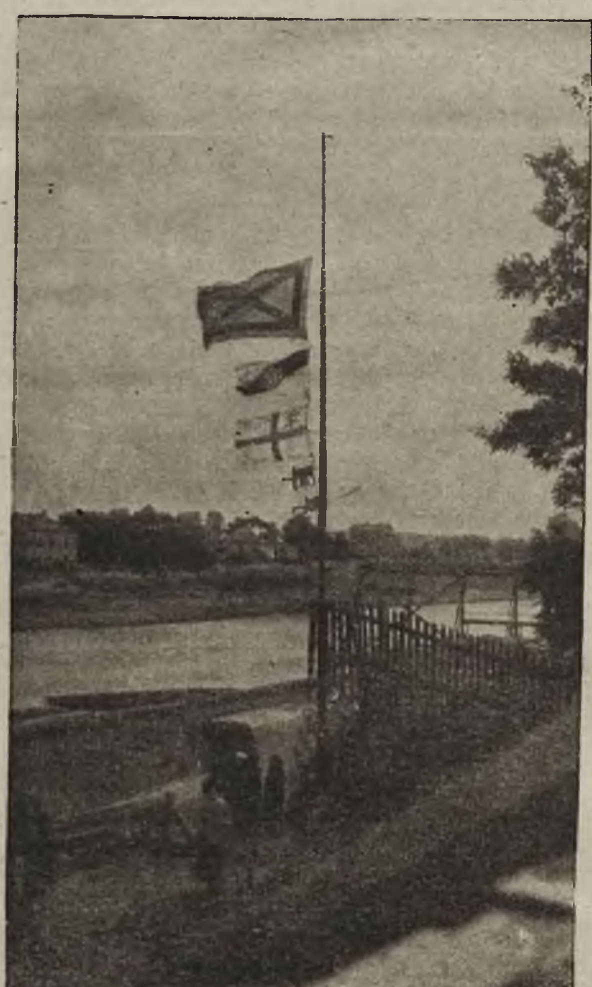




Otwarcie sezonu wioślarskiego w Krakowie: (Fot. Pluciński)
Chrzest łodzi na przystani oddziału wioślarskiego Sokoła. Przyjazd członków sekcyi wioślarskiej Akad Związku sportowego

Angielska ofenzywa na morzu.

Siły morskie, nie licząc działalności łodzi podwodnych, są w obecnej wojnie prawie bezczynne. Eskadry wojenne unikają zarówno otwartych walk na morzu, jak i ataków na wybrzeża. To też nie było dotychczas większej bitwy morskiej, ani żadnej podjętej na większą skalę akcyi sił zbrojnych morskich. Tem większe też wrażenie wywołał niespodziewany atak floty angielskiej na wybrzeża flandryjskie, o którym pisaliśmy obszernie w jednym z poprzednich numerów. Jakkolwiek był on przedsięwzięciem niezmiernie śmiałem, przeprowadzonem z wielką brawurą przez marynarzy angielskich, którzy zdołali nawet przedostać się na ląd, nie osiągnął zamierzonego celu, t. j. nie udało się Anglikom zablokować znajdujących się tam stacyi łodzi podwodnych. Po kilku dniach dokonano też nowej



Otwarcie sezonu wioślarskiego w Krakowie: Maszt z flagami polskich towarzystw wioślarskich. (Fot. Pluciński)

próby. Eskadra angielska zaatakowała ponownie Zeebrügge i Ostendę, z takim samym wszakże realnym skutkiem, jak i poprzednio. W każdym razie śmiałe ataki floty angielskiej na wybrzeża świadczą, że Anglia wobec ofenzywy niemieckiej na Zachodzie, postanowiła rzucić na szalę nawet swe siły morskie i rozpoczęła w ten sposób pierwszą ofenzywę na morzu.

Otwarcie sezonu wioślarskiego w Krakowie.

W niedzielę dnia 26. maja odbyło się na przystani Oddziału wioślarskiego Sokoła uroczyste otwarcie sezonu, połączone z chrztem dwu łodzi, cztero i sześciowiosłówki. Za zasługi około rozwoju Oddziału wioślarskiego, otrzymała czterowiosłówka, od naczelnika Oddziału, inż. T. Jaszczurowskiego, miano „Jaszczur“, sześciowiosłówka zaś, od naczelnika przystani, inż. A. Bobkowskiego, miano „Bob“. W serdecznych słowach powitał gości, członków Sekcyi wioślarskiej Akademickiego Związku Sportowego dyrektor wodociągu miejskiego, inż. T. Jaszczurowski, poczem nastąpiły przemówienia ojców chrzestnych, pp. delegata namiestnictwa dra M Biesiadeckiego i prof. uniw. dra J. Piltza.



Otwarcie sezonu wioślarskiego w Krakowie: Uczestnicy wycieczki na Bielanach. (Fot. Pluciński)

Po skończonej uroczystości nastąpiła wspólna wycieczka wioślarska obydwóch Towarzystw na Bielany, gdzie zabawiano się do wieczora.



Z włoskiego frontu: Jezioro „wojenne“, powstałe w leju, utworzonym przez wybuch granatu. (W. k. p.

Kronika tygodniowa.

Niniejsza kronika miała być ostatnią w maju. dobrze się też stało, iż do niej zmuszony byłem odłożyć opis, jak spędziłem Zielone Swięta, co wprawdzie nie jest znowu niczem tak ciekawem, ale w każdym razie może kiedyś stanowić bardzo pożądany materyał dla historyka, zajmującego się badaniem stosunków w czasie obecnej wojny światowej i mojego biografa.

Zacząłem ją pisać tydzień naprzód, ze względu na przypadającą w międzyczasie uroczystość Bożego Ciała, co przyspiesza pracę redakcyjną. Mieliśmy tak kanikularne wówczas upały, iż w jednej ręce trzymałem pióro, w drugiej zaś chustkę, a raczej ręcznik, by módz ocierać pot z czoła. Gdybym miał jeszcze trzecią rękę. zapasową, spędzałbym nią muchy, urządzające sobie na mej łysinie ślizgawkę i nic sobie z tego nie robiące, że mi przeszkadzają. A mamy w tym roku taką masę much, jak nigdy dotąd. są zaś tak nieznośne i tak się każdemu dają we znaki, jak gdyby przeczuwały, że już nie długo skończy się ich panowanie, czyli. że tego roku lato już się kończy, choć się jeszcze *de facto* nie zaczęło. Niech się tylko święty Medard rozczuli, a lubi on płakać zwykle przez całe dni czterdzieści, niech potem w ślady jego pójdą „Bracia śpiący" (początek lipca) a nie wyglądniemy nawet z pod parasola, jak nadejdzie jesień, nasza piękna polska jesień, z dalszą seryą deszczów, zimna i błota.

Powiadają ludzie, że przyjdzie mróz na psa, choć on sobie nic z tego nie robi, cały rok paradując we futrze. To samo, mam nadzieję, stanie się i muchom, ale jeszcze przed nastaniem mrozów. Grozi im skądinnąd bardzo poważne niebezpieczeństwo, jak się bowiem dowiaduję, już w najbliższych dniach ma powstać Centrala, zajmująca się zakupnem much w celach aprowizacyjnych. Dostarczać się jej ma muchy suszone, za które naturalnie zapłaci ustanowioną cenę maksymalną, zdaje mi się dwie korony za cetnar metryczny. Potem nastąpi równy i sprawiedliwy, jak zwykle, podział między wszystkie kraje monarchii, okazało się bowiem, że Galicya ma ich najwięcej. — W razie, gdyby w oznaczonym czasie nie dostarczono Centrali odpowiedniej ilości dobrowolnie, nastąpi przymusowa rekwizycya, przy użyciu najenergiczniejszych środków. Równocześnie pojawi się pouczenie, jak je przyrządzać, by ciało ludzkie mogło z nich odnieść jak największy pożytek. Mógł ongiś święty Jan, bawiąc w pokojowym czasie na pustyni, karmić się szarańczami, możemy i my, we wojennym, spróbować, czy mucha nie może zastąpić szarańczy.

Niema jednak złego, aby na gorsze nie wyszło. Wobec masowego łowienia much, należałoby się spodziewać, że będzie ich mniej, że nie będą więc mogły przeszkadzać kronikarzowi w jego zawodowej pracy, tymczasem bardzo łatwo stać się może, że, ze względu na spodziewane korzyści, znajdą się spekulanci, chcący i na tem zrobić dobry interes i rozpocząć sztuczną ich hodowlę na utrapienie łysków, najbardziej narażonych na prześladowanie ze strony tych skrzydlatych utrapieńców.

To samo, co muchy, czeka w swoim czasie karakony, stonogi (mają być podobno bardzo smaczne i pożywne, przyrządzone „na kwaśno"...) i inny podobny drobiazg. Myszy i szczury, to już grubsza zwierzyna, której zresztą brak daje się już ogólnie odczuwać. Kto wie, czy nie zjedliśmy ich już w kiełbasach, które nam tak smakowały. Ale dobrze im tak!... Zjadały one dotąd nam zapasy, tak mozolnie przygotowywane, teraz same stały się pastwą ludzkiej żarłoczności.

Jeśliby w tym celu miała powstać także odpowiednia Centrala, gotów kronikarz starać się w niej o posadę, jeśli nie dyrektora, to bodaj jakiego radcy, by sobie bodaj w ten sposób egzystencyę poprawić. — W Centrali „muszej" już podobno wszystkie płatne posady są obsadzone, a na honorowe nudy, jako nie przynoszące żadnego dochodu, nikt u nas dziś nie reflektuje.

To jednak muzyka dopiero przyszłości, a my nauczyliśmy się żyć teraźniejszością. Ponieważ ona jednakowoż bard o chuda, zeszliśmy do roli przeżuwaczów i można śmiało powiedzieć, że bodaj jakiejtakiej otuchy dodaje nam odświeżanie sobie wspomnień z przeszłości i nadzieja, że przecież nadejdą kiedyś czasy, iż wrócimy *in statu quo ante*. Kiedy to jednak będzie, tego nikt powiedzieć nie umie, *ergo* i kronikarz nie myśli sobie nad tem łamać głowy.

Ale czas już dać spokój muchom i karakonom, z nimi zaś Centralom (stworzonym także na utrapienie nie tylko łysych, ale całej ludzkości, a nawet i czworonogów, dzięki im nie mających także co jeść...), a zabrać się do opisu, jak się spędziło Zielone Swięta, łatwo bowiem stać się może, że znowu braknie miejsca.

Przedewszystkiem więc wspomnieć należy o przygotowaniach do wesołego spędzenia świąt.

W pierwszym więc rzędzie dołożyłem starań, by nie być pozbawionym przyjemności powolnego zatruwania się nikotyną i w czasie ostatniego „fasunku" w głównej trafice znalazłem się w ogonku, tym razem, nauczony doświadczeniem, w samym jego początku. Opatrzność była dla mnie łaskawą!... Dzięki uprzejmości panny Rózi i Zosi, którym na tem miejscu składam z głębi serca odczute podziękowanie, udało mi się zdobyć kilka cygar. Jak mnie to ucieszyło, zrozumie każdy, kto jest palaczem, nie mógł tego przecież pojąć jeden z mych znajomych, nie używający nikotyny, alkoholu i t. p. Gdy ze swą zdobyczą pędziłem do domu z rozradowanem obliczem, spotkałem go pod arkadami Sukiennic. Widząc me rozanielenie, zapytał ciekawie:

— Cóż się stało?... Czy może dostał pan spadek po jakim wujaszku z Ameryki?.. Przyznaj się pan, spadła kamieniczka, nieprawdaż?..

— Kochany panie! — ja mu na to. — Raz spadł na mnie kawałek gzymsu z jakiejś kamienicy, ale cała kamienica nigdy.

— Jakiż więc powód radości, gdy wszyscy są smutni?... Może pan wygrał główną premię na loteryi klasowej, bo to właśnie skończyła się piąta klasa?...

— I to nie! Czy pan pojmie, jaki ja jestem szczęśliwy? Mam pięć cygar „kuba" i to po normalnej cenie!

— I to pana tak cieszy?... Mój Boże, jak tym ludziom mało do szczęścia potrzeba..

To rzekłszy westchnął, a ja nie starałem się nawet, by go przekonać, wiedząc, że to na nic się nie zda. Co taki potrójny, a może nawet i poczwórny abstynent może się znać na przyjemnościach dawnego żywota, chowające sobie wszystkie na przyszły.

„Paliwo" więc miałem, pozostało jeszcze oglądnięcie się za jakowemś świetalnem „papu".

Widocznie przecież Fortuna nie obróciła się do mnie w tym roku smutną twarzą, gdyż od jednej zacnej osoby otrzymałem dwukilowy bocheneк prawdziwie przedwojennego chleba (ale nie przed wojną pieczonego!...), garnuszek masła i kawał sera, znanego u nas pod nazwą „*Krowentaler*", a kosztującego już, dzięki Bogu, szesnaście koron za kilogram.

Tyle specyałów naraz i to gratis, to w czasach dzisiejszych dar prawdziwie książęcy, za który niejeden sprzedałby swe przekonania najświętsze, ale nawet i pierworodztwo. Ale po kronikarzu coś podobnego się nie pokaże, zwłaszcza, że nikt tego od niego nie wymagał.

Gdym o tem opowiedział znajomym, wierzyć nie chcieli, gdym im te skarby aprowizacyjne pokazał, oblizywali się w milczeniu i posądzają mnie, że mam dobra na Ukrainie. Oby to tylko nie doszło do uszu pana inspektora podatkowego, gdyż nie chciałbym wcale, by i on mnie „wysoko szacował".

Wszystko więc tak się pięknie złożyło, że mógł człek bardzo przyjemnie spędzić Zielone Swięta na łonie matki natury, choćby na Bielanach, Panieńskich Skałach lub Sikorniku, niestety, z powodu braku siły pociągowej, jak to już poprzednio zaznaczyłem, skończyło się wszystko na projekcie.

W niedzielę po obiedzie zjadłem sobie na deser kawałek chleba z masełkiem i serem, potem zapaliłem znowu „Kuba", położyłem się na kanapie i puszczałem dymki pod sufit, wmawiając w siebie, że widzę koło siebie bielańskie dęby i buki, z których kto wie, czy niejeden liść właśnie się w tem cygarze nie mieścił. Z sąsiedniej kamienicy dochodził głos gramofonu, wygrywającego *rach-ciach-ciach*, złudzenie było więc zupełne, że jestem na Bielanach, gdzie w samej rzeczy w tej chwili mój duch się błąkał. Weronika wyszła na nieszpory, córki do przyjaciółki, ja marzyłem, aż sen skleił mi powieki.

Jak długo stan ten trwał, tego nie wiem, wiem tylko, że śniło mi się, że dokoła mnie, wziąwszy się za ręce, zaczęły zawrotny jakiś taniec karta chlebowa z tytoniową (poznałem ją po zapachu..). Ruch ten udzielił się widocznie i memu ciału, znalazłem się bowiem na ziemi, dziękując Bogu, że jestem w domu, a nie na Bielanach. Zupełnie co innego spaść z kanapy na podłogę, niż z Bielańskiej góry na gościniec i obudzić się... nieboszczykiem!...

Równocześnie zaczęło się chmurzyć i grzmieć, co mnie jeszcze mocniej utwierdziło w przekonaniu, iż dobrze zrobiłem, nie narażając siebie i rodziny na kaprysy niepewnej aury.

Skończyło się jednak tylko na strachu; deszczu, choć potrzebny, nie było, wobec czego wieczorem wybrałem się na plantacye na „ciąg jedwabników". Jeżeli kto tego nie rozumie, to mu wytłumaczę, że tak nazywam przegląd naszej płci pięknej, używającej obecnie prawdopodobnie ze względu na ciężkie czasy, jedynie jedwabnych okryć swych uroczych ciałek. Na tego rodzaju spacer wybieram się z zasady sam, aby nie narażać się na ciągłe strofowanie ze strony Weroniki.

— Już łypiesz za nią oczami? — pyta, gdy tylko spojrzę najniewinniej w stronę której białogłowy.

Albo też odzywa się z przekąsem:

— O!... Jak mu się oczy świecą!... Jak kotowi w marcu... Ja wiem, że ci się te jedwabie podobają... Ja, niestety, nie mogę sobie na taki zbytek pozwolić!

Więc ja jej znów na to:

— Moja droga!... Milszą mi jesteś w swym perkaliku lub zwykłej pice, niż tamte w jedwabiach!...

Taka zaś prawda tryska mi wówczas z oczu, że ona wierzy i na tem kończy dyskusyę.

Na plantacyach rzeczywiście prawdziwe zatrzęsienie przedstawicielek płci nadobnej szumiących jedwabiami i woniejących młodością i perfumami. W kawiarniach też ich pełno, choćby więc człowiek był z drzewa lub z żelaza, a nawet z niecnego na żadne obce wpływy betonu, nie zaś z wrażliwego ciała, musiałby uczuć jakieś przyjemne dreszczyki. I ja jestem człowiekiem, jak każdy inny czułym na piękno, ale mam też i swój rozum, który mi powiada:

— Daj spokój, bo to się może nie podobać Weronice!.. Zostaw sobie to zresztą na czas, gdy ona wyjedzie na świeże powietrze...

I ten głos rozsądku zwycięża, nie rozglądam się na boki, ale, patrząc prosto przed siebie, dążę ku domowi, gdzie czeka już na mnie cała rodzina, zgromadzona przy jadalnym stole. Niechaj jednak kto przy padkiem nie myśli, że pozwalamy sobie na taki zbytek, jak jedzenie kolacyi. Broń Boże!.. Gromadzimy się tutaj tylko ze zwyczaju, by się podzielić wrażeniami z dnia całego.

Obchodzenie się bez kolacyi jest bardzo wskazanem ze względu na zdrowie. Jeśli się kładzie na spoczynek z czczym żołądkiem, ma się sen lekki i nie trapią człeka w nocy nieprzyjemne widziadła. Aby przecież członkowie rodziny mieli za tę abstynencyę pewną rekompensatę, wyznaczyłem dla każdego, kto się kolacyi wyrzeka, premię w wysokości jednej korony, płatnej w gotówce. Zyskuje na tem budżet domowy, gdyż rano, kto chce jeść śniadanie, musi ową koronę złożyć do domowej kasy. W każdym razie bodaj przez noc cieszył się, że jest jej szczęśliwym posiadaczem, raczej posiadaczką, prócz mnie bowiem i starego kawalera, innych przedstawicieli płci męskiej w domu niema, a my obaj w tym wypadku w grę nie wchodzimy.

Tak więc spędziłem pierwszy dzień Zielonych Swiąt, a zupełnie podobnie i drugi, pocieszając się chyba tylko tem, że po wojnie, jeśli ona się wogóle kiedy skończy, będzie się można zabawić i weselej i przyjemniej, niż na to obecne stosunki pozwalają.

Jako kronikarz, rejestrujący pilnie wszelkie przejawy życiowe, nie mogę pominąć milczeniem ważnego zdarzenia, które świadczy bardzo dosadnie, jak nie którzy Krakowianie poważnie zapatrują się na sytuacyę obecną.

Od kilku dni słyszy się ciągle tu i ówdzie:

— A to, panie, nowość!

— Cóż takiego?... Może pokój zawarto?

— Nie!... Mamy kawior z Ukrainy!... Słyszałem to od osób, które go już jadły!... Nie mogę się jednak dowiedzieć, gdzie go dostać, bo o cenę mniejsza!... Pan łaskawy nie mógłby mnie w tym kierunku poinformować?

— Bardzo żałuję, ale nie mogę służyć informacyą.

— W takim razie żegnam. Boję się, by go tym czasem nie rozkupili. Byłem już w pięciu sklepach, obejdę jeszcze pozostałe, a w kawiarniach muszą mieć.

Niechaj kto nie myśli przypadkowo, że to żarty. Jest to najprawdziwsza prawda, że w czwartym roku wojny, gdy większość ludności kłopocze się tem, co weźmie do ust, by z głodu nie umrzeć, lub czem okryć gołizną cielesną swoją i swej najbliższej rodziny, są jednostki, którym do szczęścia brakuje tylko... kawioru!

Specyał ten znalazł się podobno w samej rzeczy w handlu, ale po cenach tak wygórowanych, że na taki wydatek byle kto pozwolić sobie nie może, ale znowu jedynie dostawcy, aprowizatorzy, paskarze i podbijacze cen, ci najszczęśliwsi dziś ze szczęśliwych.

Co ich to obchodzi, że innym brak codziennego chleba, oni łamią sobie nad tem głowę byle tylko dostać kawioru. Niech kosztuje co chce, ale musi być!

Jestem pewny, że wiadomości o zawarciu pokoju nie narobiłyby w Krakowie takiego rumoru, jak po jawienie się... kawioru.

Ale trudno!... Niektórzy ludzie mają obecnie stanowczo za wiele pieniędzy i w tem ich jedyna troska, na co je wydać. Ponieważ zaś „maciek" jedynym ich ideałem i celem życia, nic dziwnego, że go maszczą kawiorem, który, jak twierdzą, usposabia umysł do szlachetnych czynów.

Z tygodnia.

Rozbrojenie armii polskiej jenerała Muśnickiego.

Po krwawych wypadkach pod Kaniowem nastąpił dalszy akt tragedyi polskiego żołnierza: rozbrojenie korpusu jen. Muśnickiego przez wojska niemieckie. W ten sposób trzydziesto-tysięczna armia polska, pod wodzą jen. Dowbór-Muśnickiego, która od szeregu miesięcy, jako neutralna siła zbrojna, stała załogą między Berezyną i Dnieprem na Białej Rusi, przestała istnieć. Armia ta, jak wiadomo, podlegała dotychczas Radzie Regencyjnej, a to na mocy układu z jenerał gubernatorem Beselerem. — Pismem z dnia 10 maja zawiadomił n. Beseler Radę Regencyjną, że odbiera się jej to prawo i poddaje korpus jen. Muśnickiego pod niemiecką komendę Ober Ost. Komenda ta oddała znów Korpus Polski pod rozkazy 10. armii niemieckiej, która zarządziła jego rozbrojenie i zniesienie.

Oto schemat wydarzeń. Szczegółowy ich przebieg przedstawiają historyczne dokumenty, które zamieszczamy poniżej, a które nie wymagają komentarzy.

* * *

Dnia 22. maja wydał jen. Muśnicki do swego korpusu rozkaz, którym opublikował trzy dokumenty: list Rady Regencyjnej do niego, dalej list jen. Beselera do Rady Regencyjnej, wreszcie ultimatum, wystosowane przez komendę Ober Ost do Korpusu Polskiego.

Rada Regencyjna pisała co następuje:

List Rady Regencyjnej.

Warszawa, dnia 10. maja 1918.

Powołując się na załączone pismo urzędowe Gen. Pułk. Beselera, komunikujące nam zmianę decyzyi Gł. Kwatery Niemieckiej, w sprawie naszego udziału w decyzyach natury politycznej, zawiadamiamy Waszą Ekscellencyę, że od dnia dzisiejszego Pan Generał Radzie Regencyjnej nie podlega, a I szy Korpus od złożonej przysięgi zostaje zwolniony. Wszelkie układy dalsze z władzami niemieckiemi Pan Generał musi prowadzić samodzielnie, kierując się nie tylko względami na własny Korpus, ale przedewszystkiem na interes narodowy. W interesie zaś narodowym leży, by mimo wszystko, co zaszło, a tak niezmiernie utrudnia położenie, do ostrego konfliktu nie dopuścić. Polecając Pana Generała i podległe mu bohaterskie wojsko opiece Boskiej, zapewniamy Go o niezmiennej naszej życzliwości.

Aleksander Kakowski, arcybiskup.

Zdzisław Lubomirski. *Józef Ostrowski*

Pismo to zostało otrzymane w Bobrujsku dnia 21. maja o godzinie 1 30 po południu.

List jen. Beselera brzmiał, jak następuje:

Jen. Beseler do Regencyi.

Generał-Gubernator.
Nr. 2137 18.

Warszawa, 8. maja 1918.

Dodatkowo do mojej odezwy z dnia 3. b. m. mam zaszczyt zakomunikować Najdostojniejszej Radzie Regencyjnej, że wskutek godnego żalu zachowania się Rządu Polskiego w Kijowie (!), zwierzchnie Dowództwo Naczelne nie może nadal uznawać prawa Dostojnej Rady Regencyjnej do współdziałania w decydowaniu politycznem kwestyi wojskowych. Bezpieczeństwo naszych wojsk, wciąż jeszcze walczących na wschodzie, wymaga bezwarunkowo, ażeby na tyłach nie było obcych oddziałów wojskowych, utworzonych z części składowych rozformowanej armii nieprzyjacielskiej, które nie poddają się bez zastrzeżeń niemieckiemu dowództwu naczelnemu. To zrozumiałe samo przez się wymaganie wojskowe stoi w rażącej sprzeczności do zawartego w liście p. Prezesa Ministrów z dnia 30. z. m. żądania, mogącego mieć najcięższe następstwa, ażeby oddziały wojskowe polskie, wydzielone z armii rosyjskiej, poddały się bezwarunkowo Dostojnej Radzie Regencyjnej i słuchały tylko jej rozkazów. Takie pojmowanie współpracownictwa w kwestyach wojskowych nie może być tolerowane już z zasadniczych względów wojskowych, mianowicie ze względu na jednolitość dowództwa, przeczy ono również zasadniczym liniom wytycznym patentu z dnia 12. września 1917.

Na zasadzie zmienionego stanu rzeczy od generała Dowbór Muśnickiego zażąda się oświadczenia, że wraz ze swoim korpusem uznaje bezwarunkowo niemieckie dowództwo naczelne. Następnie będzie zawarta nowa umowa z I szym Korpusem Polskim, jako wojskiem neutralnem, dla rozszerzenia umów Bobrujskich. Dostojnej Radzie Regencyjnej nie może być jednak przyznany bezpośredni w tem udział.

Podpisał *v. Beseler.*

Ober-Ost do Wojska Polskiego.

Ultimatum Ober-Ostu brzmi, jak następuje:

Korpus Polski podlega zupełnemu rozformowaniu. Wszelkie stosunki pomiędzy Korpusem i Radą Regencyjną są wzbronione. Werbunek do I szego Korpusu Polskiego jest wzbroniony. Rozformowanie I szego Korpusu Polskiego powinno się zaraz rozpocząć. Wskazówki, dotyczące rozformowania, będą dane przez Ober Ost w porozumieniu z generał gubernatorstwem warszawskiem i z wojskowem gubernatorstwem lubelskiem. Rozformowanie będzie sprawowane przez komendy nadzorcze 10. Armii. Należący do I szego Korpusu Polskiego będą wysłani do miejsc, skąd pochodzą. Wszystka broń, należąca do I szego Korpusu Polskiego, oraz cały materyał wojskowy, przed odjazdem do kraju, ma być oddany za pokwitowaniem komendom odbiorczym 10. Armii.

Terytoryum, przeznaczone dla I szego Korpusu Polskiego, będzie zajmowane przez wojska niemieckie w razie potrzeby. Przeprawy przez Dniepr będą obsadzone natychmiast przez wojska niemieckie. Granice terytoryum, przeznaczonego dla I-go Korpusu Polskiego, będą zastosowane do granic administracyjnych (granic powiatów). Zabrania się I szemu Korpusowi Polskiemu przekraczać granice rejonu rozlokowania i linię demarkacyjną bez upoważnienia władz niemieckich. Kraj, oddany I szemu Korpusowi Polskiemu, powinien być administrowany według linii wytycznych, które będą wskazywane przez A. O. I. O. i pod zwierzchnim dozorem niemieckim.

Władze niemieckie rozporządzają wszystkiemi zapasami, o ile nie są potrzebne dla wyżywienia I go Korpusu Polskiego. Decyduje o tem władza niemiecka.

Żegluga, wszystkie statki i urządzenia żeglugowe oraz policya rzeczna na Berezynie i na Dnieprze przechodzą do rąk niemieckich.

I szy Korpus Polski zobowiązuje się nie prowadzić żadnej działalności politycznej na wydzielonem sobie terytoryum, szczególniej zaś nie przedsiębrać żadnych prób polonizacyi i nie dawać charakteru polskiego urządzeniom społecznym, jak kościół i szkoła. Odrzucenie, zmiana lub niedotrzymanie warunków pociąga za sobą przymusowe rozbrojenie i zabranie do niewoli.

* *

Warunki powyższe zostały doręczone Korpusowi Polskiemu na ręce jenerała majora Karnickiego, gdyż jenerał Muśnicki był chory. Jenerał Karnicki podpisał je, dodając uzasadnienie następujące:

Zważając na otrzymaną na posiedzeniu katego ryczną wskazówkę co do paragrafu 18 umowy, a mianowicie, że żadna zmiana warunków nie jest dopuszczona i że takowe winny być w całość, w ciągu sześciu godzin przyjęte lub odrzucone, dowództwo I szego Korpusu zostaje zniewolone, ulegając przemocy i dla uniknięcia przelania krwi, a także powodując się dyrektywami, zawartemi w piśmie Najdostojniejszej Rady Regencyjnej z dnia 10. maja 1918 r., podpisać warunki, postawione I szemu Korpusowi Polskiemu ze strony niemieckiej w dniu 21. maja 1918 r.

Generał-porucznik Karnicki

pełnomocnik dowódcy I szego Korpusu Polskiego.

Oryginał podpisał:

Dowódca Korp. G. Szt. Gen.-Por. Dowbór-Muśnicki.

Z oryginałem zgodnie: podpułk. *Bolecki.*

Ostatni przegląd Korpusu Polskiego.

Dnia 22. maja odbył się w Bobrujsku ostatni przegląd Korpusu Polskiego. Do żołnierzy przemówił jenerał Muśnicki, prosząc o zachowanie spokoju i złożenie broni. Jak donoszą do pism lwowskich, rozkaz ten wywołał wśród żołnierzy polskich niesłychane przygnębienie. Oficerowie płakali, kawalerya domagała się walki. Ostatecznie karny żołnierz polski poddał się rozkazom wodza. Broń złożono.

Dziennie opuszcza Bobrujsk trzy pociągi, każdy wiezie tysiąc żołnierzy. Demobilizacya powinnaby więc ukończyć się w dziesięć dni.

W nakładzie i wydawnictwie ... ol. Lipińskiego Sdsow, redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.